Rozmaitości

Dnia 10. Sierpnia — Nr 32. — 1839 Roku.

DZIEWICA Z KORYNTU.

POWIEŚĆ.

1.

W pobliżkości miasta Efezu, za czasów Alexandra Wielkiego, znajdowało się źródło, nimfie jońskiéj, Kalipii poświęcone. Miejsce to było samotne; gaj oliwny otaczał je w około; czysta woda, wytryskująca ze źródła, snuła się pięknym wężykiem po dolinie i wpadała w słone powodzie morza. Podróżni przybywający z Efezu, udając się w zachodnie kraje, zatrzymywali się przy téj samotnéj grocie Kalipii. W tém miejscu pili wodę z poświęconego źródła i wzywali błogosławieństwa bogini. Byłoto ich ostatnie z Małą-Azyją pożegnanie. Samotność ta była ulubioném siedliskiem ptaków i pastérzy kóz. Tęskna i tkliwa dusza byłaby ją sobie za mieszkanie obrała, jakoż zapewne i Dyjanna w towarzystwie swoich psów gończych odwidzała nie raz to święte miejsce.

Nie daleko oliwnego gaju, na zachodniéj pochyłości pagórka, wznosił się samotnie stojący domek, skromnéj ateńskiéj budowy. Był on drzewami i skałami w ten sposób otoczony, iż go tylko z strony morza dostrzédz można było. Człowiek, który domek ten zamieszkiwał, poświęcił się samotności i uroczéj pracy. Miał on wprawdzie pałac w Efezie; jednakże od miesiąca uchylił się był i od miasta i od swoich przyjaciół. Tymczasem zbliżały się święta Dyjanny, które Efezyja z uroczystością obchodziła, i na których Alexander, syn Jowisza i Olimpii, miał być obecnym.

Jednego wieczora jakiś młody człowiek zapukał do drzwi małego domku, który przy źródle Kalipii się wznosił. Właściciel jego odchylił drzwi i wyszedł naprzeciw nieznajomemu. W téj chwili dwaj młodzi ludzie prawie jednakowéj greckiéj urody, stanąwszy na przeciw siebie licem w lice, wlepili jeden w drugiego wzrok zdziwiony.

»Witam cię, boski malarzu!« przerwał nareszcie milczenie ten, który przybył z Efezu, »toż, jak widzę, ciebie szukać potrzeba?«

»Z jakiegożto powodu tak wielki mnie zaszczyt spotyka?« odrzekł właściciel domu.

»Wiądomo ci,« odezwał się Macedończyk, zdjąwszy przyłbicę z głowy, »że nigdy nie jestem królem pośród moich przyjaciół. Przychodzę prosić cię o jednę łaskę.«

»Mnie prosić o łaskę?... O synu Jowisza!...«

»Apellesie,« rzekł młody król, »podaj mi twoję rękę. Alexander mówi do ciebie. Dla jakiegożto powodu zamknąłeś się przez tak długi czas w téj samotnéj ustroni? Nie dajesz-że przeto poznać, żem z mieczem w ręku wkroczył do Efezu, a ty mnie nie nawidzisz dla tego?... Apellesie, ojczyzna twoja ubóstwia Alexandra, za co wielkim bogom pokorne dzięki składam! Efezyja jest moją rozkoszą; wzniosę w niéj znowu tę zadziwiającą świątynię, którą Herostrat, ten zapamiętały szaleniec, ogniem w gruzy obalił; przyrzekłem to Azyi i kapłanom Dyjanny. Lecz teraz mówmy o czém inném; teraz mój przyjacielu, idzie o ciebie. Wizerunek Alexandra, twego pezla dzieło, jest podziwieniem Grecyi całéj; matka moja Olimpija, na widok jego rozpłakała się z radości. Mistrz, który umiał tak doskonale zjąć rysy méj twarzy, ten i duszę moję zrozumie. Apellesie, jesteś jednym z tych, których kocham. Mówię teraz do ciebie jako przyjaciel, i proszę cię,

abyś dla mnie nowy obraz wziął pod swój pędzel, obraz niewiasty, która ze wszystkich greckich i jońskich kobiét jest najpiękniejszą. Nie widziałżeś jéj jeszcze; jestto młoda dziewica z Koryntu... nazywa się Kampaspe.«

Apelles zbladł na te słowa. Syn Olimpii zajęty uważaniem niektórych obrazów, które wieczorne słońce swym blaskiem spromieniło, nie postrzegł wzruszenia przyjaciela swojego. »Tak jest,« odrzekł malarz. »Ta Kampaspe jest piękna jak nimfa!«

»Nie pokażę jéj żadnemu z mych przyjaciół, prócz tobie Apellesie. Ty będziesz ją widział, jak długo ci się podobać będzie. Malarz bardziéj zachwyca się pięknością swego umnictwa, aniżeli pięknością swojego wzoru. Malarz i poeta zgadzają się w téj mierzę; ich najpiérwszym ideałem jest ich dzieło, ich muza.«

»Tak sądzisz Alexandrze?« rzekł Apelles z westchnieniem.

»Może cię jaki smutek udręcza, mój Apellesie?« ozwał się król Macedoński. »Czegoż jeszcze nie staje do twojéj sławy?«

»Ach!« odrzekł Apelles, »albożto zawsze o samę tylko sławę chodzi? miałażby tylko sama sława być dostateczną? natenczasby duszę Alexandra mieć trzeba... Lecz, nie chciéj teraz wchodzić w powody mojego smutku, i mówmy raczéj, jeżeli ci się podoba, o uroczystościach Dyjanny, albo o nastąpić mającéj twéj Taurychiéj wyprawie.«

»Nie, nie,« odrzekł syn Olimpii, »mówmy teraz o twoim smutku; tkliwe zawierzenie siedzi u wezgłowia chorego, i nie raz staje się więcéj pomocném, niż najbieglejszy lekarz... Apellesie, może miłość jest twojéj tęsknoty przyczyną?... O! jeżeli zgadłem, porzuć więc tę pustynię; powróć do Efezu, żyj z moimi przyjaciołmi, z Antygonem, Kratesem, Klitusem, Hefestyjonem... pokażę ci piękną dziewicę z Koryntu; nie jesteś w stanie wyobrazić sobie jak ona oko i serce czaruje!«

Malarz zadrzał. Powstał i przechadzając się sporym krokiem nic nie odpowiedział na zapytanie Macedończyka.

Król wziął znowu włocznię w rękę i włożywszy przyłbicę z białemi skrzydłami na głowę, odchodząc rzekł: »Miasta zdobywać, państwa podbijać jest małą rzeczą dla Alexandra; trudniéj mu przychodzi pozyskać zaufanie Apellesa! Bądź zdrów mistrzu! myślałem, że twym przyjacielem jestem.«

To rzekłszy puścił się sam ku miastu piaszczystém wybrzeżem morza. Często stawał na drodze i zamyślał się nad tajemną przyczyną smutku sławnego malarza. Postanowił uspokoić go, choćby to uspokojenie największéj ofiary od niego wymagało. Alexander był jednym z owych ludzi, w którym gorąca przyjaźń wszelkie cnoty i błędy miłości przeważała. Piękne dusze są jak spaniałe gwiazdy, które niestety tylko w dalekich od siebie przestrzeniach po pod zimném, mglistém niebem w dniach dzisiejszych jaśnieją!

II.

»Myślałem, że twym przyjacielem jestem..« I ja Alexandrze, i ja podobnież myślałem!« rzekł Apelles, ujrzawszy się sam w swém pomieszkaniu; »ale straszliwe bóstwo stanęło między mną a tobą; jakież nieszczęsne przeznaczenie kazało ci przywieźć tę dziewicę z Koryntu? Jestto gorejąca szata Centauru, którą dla mnie przywiozłeś. Ach! imię moje zasłynęło w całéj Grecyi, obrazy moje zdobią świątynie wielkich bogów; otrzymałem wieńce nagrody w Panatenejach, na olimpijskich i efezkich igrzyskach, i na wszystkich uroczystościach... Już w młodości mojéj słynałem, a jednak teraz smutny, samotny, płaczę pośród nocy, jak ostatni złoczyńca. Są dusze, dla których sława nie jest dostateczném zaspokojeniem; znajdują się tak tkliwe serca, które częstokroć zmuszone są zstąpić z tych sfer ognistych, w których ty Alexandrze podobnie orłu samą tylko sławą oddychasz! Ty nie możesz tego pojąć, ty, który jak Grecyi i Azyi, tak równie twojemu sercu i zmysłom twoim panujesz. Niepokonany synu Jowisza! skoro ciebie miłość w swoje więzy brać zacznie, ty natychmiast uderzasz mieczem o ziemię, i natychmiast powstają z niéj rumaki i zbrojni wojownicy; wydajesz hasło do boju, burzysz miasta i niszczysz nieprzeliczne wojska, oto są twe igrzyska, rozrywki i zabawy; miłość twoja ginie pośród wojennéj wrzawy, śród błyskawic, czarnych tumanów kurzu i okropnego trąb odgłosu; a ty rozpływasz się z radości i wznosząc swój miecz, wołasz do niebios, a niebiosa odpowiadają ci swoim grzmotem. Tak działa

Alexander, i dziwi się cichemu smutkowi malarza lub poety, jak gdyby malarz i poeta nie byli namiętnemi, chociaż nazbyt słabemi istotami, pięknemi, tkliwemi kwiaty, które zimny wicher na góry zaniósł.«

W tym sposobie dumał nad swoim stanem Apelles, wodząc długim, posępnym wzrokiem po błękitnych smugach, roztoczonych po niebie. Powietrze morskie rozléwało przyjemny zapach z wawrzynowych kwiatów nadbrzeżnych, a wschodzący księżyc przeglądał się w srébrnym potoku, który Samos od jońskiego oddzielał lądu.

Młody niewolnik z tauryjskiego Chersonu zbliżywszy się do mistrza, oznajmił mu, iż go kapłan Dyjanny o gościnność uprasza. Stary Megabyzes ten, przechodząc pomiędzy dąbrowy i gaje oliwne, zabłąkał się śród nocy.

»Niech wnijdzie,« rzekł Apelles.

Kapłan Dyjanny miał na sobie krótką, sznurem purpurowym przepasaną tunikę i płaszcz podróżny, u boku zaś nóż ofiarny. Głowę jego okrywała frygijska czapka z wełny z Miletu. Apelles postrzegłszy go przypomniał sobie, iż ta twarz już mu gdzieś była znaną, jednakże nie pytał go ani o ojczyznę, ani o jego nazwisko.

Mniemany ten Megabyzes właściwie był przybocznym lekarzem Alexandra Wielkiego.

»Witam cię w moim domu,« rzekł mu malarz. »Dom mój jest mały i samotny, nié mam do posługi tylko jednego niewolnika, przebacz, jeżeli cię godniéj przyjąć nie mogę, kapłanie wielkiéj bogini!«

Megabyzes odrzekł: »Gościnność Apellesa w Efezie jest spaniałą; w tém zaś cichém ustroniu jest jak źródło Kalipii pokrzepiającą.« Niewolnik obmył podróżnemu nogi w srébrnej miednicy, przyniósł soczystych owoców z ogrodu, świeżego chleba z pięknéj mąki, smacznego mięsa i prasnego miodu, który na górach Taurycklich złote pszczoły zbiérają. Nie skąpo także postawił wina z Samos i z Syryjskiego wybrzeża.

»Zacny mój gospodarzu,« rzekł Megabyzes, »zapewne nieraz w nocy przypatrujesz się tym pięknym falom morza, tym pysznym kształtom gór i téj spaniałości nieba? Umnictwo twoje żyje zapałem; malarz jest namiętnym miłośnikiem natury; pomiędzy artystą a naturą panuje tajemne i nieskończenne przywiązanie. Lecz bądź ostrożnym Apellesie; przy téj sposobności kochanka twoja natura łatwoby siły twoje wyczerpać mogła; ty jesteś jednym z tych, których dusza jest promieniem słonecznym; promień ten wprawdzie w piękne, ale kruche naczynie wnika, a jeżeli naczynie to ogniem rozgrzane, pęknie?...«

»Ach,« przerwał mu Apelles mowę, »ażaliż nie dosyć już żyłem na świecie?«

»Dla sławy zapewne dosyć, ale czy także dla przyjacioł?« zapytał Megabyzes. »Zaiste, sława rozgłosiła imię twoje po świecie... ale jeżeliby człowiek na ziemi żadnéj innéj nié miał miłości, jak tylko miłość, dążąca do podziwienia, oklasków i wieńców, byłożby życie jego już zaspokojone?«

»Słowa twoje są mądre,« odrzekł z żywością Apelles, »właśnie téj nocy przed przybyciem twojém myślałem o tém. Sława upaja wprawdzie duszę przyjemną wonią, ale serce zostawia czcze, i jak grób smutne. I dla tego nie jestem w stanie pojąć Alexandra, chociaż go jak ziemskiego boga podziwiam.«

»Mój synu,« rzekł mniemany kapłan Dyjanny, »tryjumfator Grecyi, który wkrótce także tryjumfatorem Azyi będzie, zna przecież przyjaźń, o czém tobie zapewne lepiéj niźli komu innemu jest wiadomo.«

»Prawda, że przyjaźń jest mu świętą,« odrzekł Apelles, »ale co się dotyczé miłości!... nigdy jéj Alexander serca swego nie podda. Przyjaźń jest balsamem dla duszy, słodkim, uspakajającym balsamem dla zranionego serca. Szczęśliwy, czyje serce słodkich związków przyjaźni doznaje!«

»Mój synu,« rzekł przebiegły lekarz królewski, »narzekanie jest odgłosem boleści; jeżeli się nie mylę, jakiś tajemny smutek serce twoje owładnął. Załujeszże czego, lub tęsknisz za czém Apellesie?«

Artysta zmierzył okiem kapłana Dyjanny, i tylko te do niego odrzekł słowa: »Kiedyż odbędą się święta w Efezie?«

»Święta Dyjanny za trzy dni się rozpoczną,« rzekł mniemany Megabyzes z niejaką niespokojnością.

»Wszak świątynię bogini dopiéro z gruzów wydobyto.«

»Nacóż nam świątyni?« odrzekł kapłan; »nie jestże między nami boska natura?...

Ogień Herostrata nie ważył się jéj dotknąć; bo ona jest dziełem bogów i w owych czasach spadła z nieba, gdy amazonki: Antyjope, Smyrna, Orytyja i piękna Hippolita miasto Efezus założyły. Z tegoto powodu święta odbywać się będą pod namiotami z purpury i złota. Już od całéj Grecyi przez posłów przysłano poświęcane dary. Frygija, Lydyja, Persyja i Magnezyja przysłały puhary ze szczérego złota, urny z kadzidłem, naczynia z mirą i wonnémi korzeniami, przejrzyste obsłony, tkane złotem i wykładane drogiemi wotami. A chociaż Alexander jako król uroczystościom przewodniczyć będzie, nie omieszkał jednakże i Daryjusz do wielkiéj bogini przysłać swego satrapę. W stadyjum odbywać się będą wielkie wyścigi; już więcéj niż trzysta olimpijskich liczą rumaków; nakoniec syn Jowisza w pałacu dawnych królów perskich wyprawi pod noc świetny festyn. Jakże? toż sławą uwieńczony syn Jonii, Apelles, przyjaciel Alexandra, nie miałby na tym uroczystym być festynie? Miałyżby młode Teory, kapłanki, dopiéro szukać go w téj pustyni?«

»Przyjacielu,« rzekł Apelles, »choremu dzieje się podobnie jak i złoczyńcy; on unika bogów.«

»Jeżeli jesteś chorym,« odrzekł kapłan, mogę ci dać skuteczne zioła. Uczyłem się tajemnicy lekarskiéj; nie jestże Apollo bratem Dyjanny?«

»Chcesz mi dać skuteczne zioła? odrzekł malarz wstrząsając głową. »Wszyscy lekarze podobni sobie. Jeżeliś bladym, zmartwionym, już ci mowią, żeś na wątrobę chory. Jeżeliś gniewny, popędliwy, już są pewni, że masz krew gorącą, i letnią ci kąpiel poradzą. O wy biédni lekarze! ciało jest waszym uległym niewolnikiem, wy trapicie i kaleczycie je dowolnie, lecz tego boskiego tchnienia, o którém wielki Sokrat nauczał, téj nieśmiertelnéj duszy, pojąć wam niepodobna, bo jest wolna, śmiała i niedotykalna zmysłami, przezto samo dla was do nieodgadnienia. Dla tego radzę ci, kapłański lekarzu, zostaw mnie w moim żalu, jest on dla twojéj umiejętności za wysoki i niepojęty.«

»Mój synu,« odrzekł Magabyzes, »szanuję twą tajemnicę i lituję się nad smutkiem twoim. Widziałem ja w życiu mojém wielu zasmuconych, ale mało takich, którychby pocieszyć nie było można; jednakże uczynię zadość woli twojéj. Powrócę do Efezu i będę sławił twoję uprzejmość, dobroć i gościnność, będę do bogini tajemne modły zasyłał, aby cię w twojém mieszkaniu odwidziła, i promieniem nadziei rozweseliła serce twoje.«

»Zatrzymaj się na chwilę,« rzekł Apelles, »zaniesiesz jéj także podarki odemnie; oto jest kielich z achatu, który od ateńskiego archonta otrzymałem; a tu wieniec ze złotych liści, który w Koryncie na igrzyskach istmijskich w upominek wziąłem. Koryncie!« zawołał nagle, »Koryncie! O, ty szlachetne, spaniałe miasto! Twoja pamiątka zawsze we mnie mieszkać będzie, jak ów sen miły, ów sen rozkoszny, który błogo śnimy w wiośnie lat naszych! Koryncie, piękna córko Grecyi, nadobna nimfo z zatoki Alcyjonu, któż mnie do twych brzegów zaniesie? któż mi wawrzyn, kto kwiaty uszczknie, abym je u nóg tak pięknéj i dumnéj jak ty jesteś dziewicy złożył!« To rzekłszy Apelles doręczył kapłanowi ofiary, które dla bogini przeznaczył. Na jagody jego wystąpił świeży rumieniec, oczy jego zapromieniły się jak dwie w błękicie gwiazdy, a głos jego zadzwonił tkliwością serca.

Lekarz króla macedońskiego ująwszy go za rękę rzekł: »Bądź mi zdrów, mój synu. Jutrzenka poranna wschodzi tak wesoło, jak gdyby samym tylko szczęśliwym przyświecać miała; wracam do Efezu, gdzie może z Alexandrem się spotkam; on mi niejednę wyświadcza łaskę; nie daszże mi żadnego zlecenia do królewskiego przyjaciela twojego?«

»Idź,« odrzekł Apelles, »i powiedz mu, iżbym dał panowanie całego świata za to, gdybym tylko przez jeden dzień mógł być synem Olimpii.«

»I kochankiem dziewicy z Koryntu,« pomyślił sobie lekarz przebiegły.

»Bądź mi zdrów, mój synu!« promień boskiéj nadziei zwidza pomieszkanie każdego nieszczęśliwego, on i u twego progu zawitać nie omieszka.« Gość Apellesa puścił się ścieżką bieżącą ze wzgórza i niebawem stanął na dolinie, a ztamtąd w mieście Dyjanny.

III.

Nakoniec nadeszły dni świat w Efezie; byłto czas w którym się Wschod w całéj swojéj odsłania spa-

niałości. Rozkoszna Jonija ocknęła się z uśmiéchem; łabędzie z rzéki Kastejskiéj uleciały w wyższe krainy, w poświęconych gajach dały się słyszéć tkliwe dźwięki arf eolskich, a ptaki napowietrzne wtórowały im harmoijnym spiéwem swoim.

Niektóre młode kapłanki, Hierami zwane, wyprzedziły jutrzenkę na oliwnych i wawrzynowych górach. Białe Teonije, kapłanki Dyjanny, snuły się po krętych, gęstym liściem ocienionych manowcach, a z srébrnémi ich zasłonami igrał wiatr swawolny. Młode Hiery te, z urody i czystości do nimf podobne, spiéwały hymn Dyjanny. Czystym, przyjemnym głosom tych młodych dziewic wtórowały na przeciwległych wzgórzach chóry surowych Megabyzów. Piérwsze spiéwały:

»Przeczysta bogini, duszo nocy, oblubienico gwiazd, ciebie wzywamy! My jesteśmy kwiaty dolin, sinogarlice lasów, bojaźliwe i słabe stworzenia; weź nas pod swoję opiekę. Spojrzenia twoje są łagodne, gniéw twój jest straszny. Piękna łowczyni, zapomniéj na widok nasz o łukach i strzałach twoich. Jesteśmy twoje kapłanki; żywą i błogą strugą ze skały tryskającą obmywamy twoje święte ołtarze, same tylko czyste i niewinne przynosim tobie ofiary, którym nigdy życia nie odbiéramy. Dyjanno, uśmiéchająca się Jonija jest najgorliwszą kapłanką twoją; promienie twoje użyźniają tę ziemię, woń kwiatów twoich, słodką ją rozkoszą upaja! O, Bogini, do ciebie zasyłamy modły nasze, błogosław naszemu miastu, naszym górom i rzékom, błogosław pokojowi naszéj ojczyzny i czystości serc naszych. Zstąp z niebios na poświęcone wzgórza, przynosim ci w ofierze wonne kwiaty, nieprzeliczne wieńce, dziewicze dusze, młode i nieskażone ciała nasze!«

Tak spiéwały hieryjskie kapłanki na żyznych wzgórzach, które zapełnionemu zielonemi wyspami morzu spaniale panowały. Uroczysty głos chóru rozlegał się pośród rozłożystych dębów i sykomorów. Młody mężczyzna szedł gajem i spotkawszy przechodzące kapłanki, oparł się o drzewo. Ustroń ta była samotna; bujny bluszcz wił się w około konarów drzew rozłożystych. Szelest sprawiony przez młodego człowieka, chroniącego się w zaroślе, przestraszył dziewice Dyjanny. Zaczęły uciekać, aż pokąd kapłanie i kadzielniki w pomoc im nie przyszli. Efezyjscy kapłani pochwycili zapamiętalca, który wzbraniał się powiedziéć im nazwisko swoje; tym sposobem Apelles (gdyżto był on sam) wszedł jako jeniec do miasta, które rozsrożeni nadzorcy już otoczyli.

Od zachodniéj bramy aż do dzielnicy Smyrny ku portowi bieżącéj, wysypane były ulice i wszystkie miejsca otwarte złotym piaskiem i usłelone wonnemi kwiatami. Tłumy ludu wrzały jak powodzie morza rozkołysanego. Byli tam obywatele ze wszystkich miast i ze wszystkich osad Grecyi, poddani ze wszystkich satrapijów Daryjusza i mieszkańce z całéj Azyi-Małéj. Widziałeś tam tyjarę obok frygijskiéj czapki, grecki płaszcz obok długiéj syryjskiéj szaty, a pośród tłumu połyskiwały przyłbice macedońskie zielonemi ozdobione gałązkami; albowiem żołniérze Alexandra byli przyjaciołmi i czcicielami świąt efezyjskich. Czasami przedziérał się przez tłumy archont ateński; poznałeś go po złotym pierścieniu i wawrzynowym wieńcu na skroni. Lecz największą uwagę zwracał na siebie orszak posła Daryjusza; odważny Satrapa sam jechał na medyjskim rumaku i miał na sobie sydarys z długiemi rękawami, których purpura iskrzyła się drogiemi kamieniami. Za nim postępowało dwóch rycerzy w złotych kolczugach; twarz ich była od słońca ogorzała, wzrok pochmurny i dumny. Poznało ich kilku Macedończyków, którzy w walce pod Granikiem z nimi się potykali. Magowie z Babylonu, z białemi tyjarami na głowie, zabawiali się rozmową z kapłanami Izydy, albowiem Memfis i Belus były kapłańskiemi siostrami wielkiéj Efezyi.

Słońce już było dokonało połowy swego obiegu; miasto Dyjanny oblane było złotemi jego promieniami i jaśniało na jońskiém wybrzeżu, jak królowa pośród blasku sławy siedząca. Wonne kadzidła wzbijały się z publicznych miejsc i świątyń w niebiosa, a wiatr unosił te piękne, poświęcone wonne obłoki ku rozległemu morzu; zdawało się iż w tym dniu cały Wschód zgromadził w to miejsce wszystkie swoje najkosztowniejsze wonie.

Uroczyste chóry odpowiadały z brzegów przyległym wzgórzom; tkliwą duszę i serce zachwycającą harmoniją napełnione było całe powietrze. W tém miejscu zniknęła wszelka namiętność, ustała wszelka nienawiść, umilkła wszelka nieprzyjaźń, tylko radość i nadzieja, miłość i przyjaźń i wszystkie owe piękne jeniusze życia człowieka, ożywiały spokojne miasto.

Aż oto zarazem pośród ciżby dał się słyszéć krzyk przeraźliwy; jak bałwany morskie przed ostrą piersią ogromnego okrętu, rozstąpił się tłum na dwie strony. Byłto Alexander, król macedoński, otoczony swoimi przyjaciołmi. Młody król ten opuścił pałac perski dla udania się do stadyjum, gdzie już nań olimpijskie rydwany czekały. Szedł on po drodze wyścielonéj palmami, kwieciem róż i wawrzynów; na głowie miał spaniałą przyłbicę z dwoma białemi skrzydłami, których końce ku niebu się wznosiły, i którémi się on jako bóg pośród tłumu odznaczał. Stalowy oręż wydawał głośny brzęk przy jego boku: grecka toga ukwiecona była złotemi pszczołami na cześć Dyjanny; jéj bowiem pszczoły poświęconemi były. Towarzyszyli mu Antygonus i Krates, a od czasu do czasu syn Olimpii opiérał rękę swoję na ramieniu jednego z swych przyjaciół. Za nim postępował Hefestyjon,

podobny jemu co do urody, w kwiecie młodości i w bohatérskiéj sile. Pomiędzy naczelnikami wójsk był także młody syn Parmenijona, równie niepohamowany i zapalczywy w bitwie jak burzliwy i nieumiarkowany przy nocnéj uczcie. Pośród tłumu słychać było także wykrzykiwane nazwiska Klitusa, Artemidora i Dinokratesa, i wielu innych, którym Efezyjczykowie odbudowanie świątyni poruczyli. Pośród radosnych okrzyków ludu, zbliżał się Alexander do stadyjum, gdy nagle ujrzał, iż kapłani w niejakiém oddaleniu jakiegoś młodzieńca pod strażą wiedli. Zatrzymuje się i pyta o nazwisko jego. Aż oto słyszy i poznaje głos Apellesa, przyjaciela swojego.

»Synu wielkiego Jowisza,« rzekł, »ratuj mnie! Dyjanna mnie prześladuje.«

Alexander podał mu rękę, a Magabyzowie cofnęli się z przestrachem. Apelles opowiedział mu spotkanie się swoje z młodą Teorą i obelgę, jaką kapłanie Dyjanny mu wyrządzili. A król wziąwszy go pod rękę zaprowadził do ogromnego stadyjum.

Pocóż w obecność przywoływać uroczystości, o których czas tylko pamiątkę pozostawił? Kogoż dzisiaj obejdzie świetność i przepych miast, które dawno w gruzy zaległy? W kimże dzisiaj obudzi podziwienie ów święty zapał zaginionego narodu, owe uroczyste uwielbianie talentów Grecyi i Azyi, owe uniesienia, okrzyki zwycięzców, i owe uwieńczające korony, które rozdawali archonci i nekorowie! Kogoż teraz zajmie miniona przeszłość, jéj dzieje i poezyja? Zastarzała muza już dawno wygnana; mieszka ona teraz bez wątpienia w podniebnych przestrzeniach z zamierzchłą sławą. Nie przywołujmy jéj na ziemię abyśmy jéj nie zmartwili!

IV.

W Efezie, w pałacu królów perskich, znajdowały się tajemne komnaty, przeznaczone dla rozrywki wielkich mocarzów Wschodu. Galeryja ich wychodziła na cedrowy ogród. Nikomu nie był wolny przystęp do tych miejsc ukrytych, wyjąwszy kilku przyjaciołom króla królów. Gmach ten od strony miasta zasłaniały gęste zarośle, z drugiej strony zaś harmonijne fale morskie lizały jego podnóże.

Do téj części perskiego pałacu na rozkaz macedońskiego króla zaprowadzono młodzieńca. W tajemniczéj chwili, kiedy gwiazdy wzejszły na niebie, kiedy słodkie sny rozwodziły błogie panowanie swoje, stanął on sam w porfirowym gmachu. Różane i lotusowe krzewy kołysały się od błogich wietrzyków, i odsłaniały przez kolumny widok do ogrodu. Jasném światłem błyskała złocista lampa, zawieszona pośród okazałego gmachu. Było tam także na blejtramie rozciągnięte płótno; były tam puszki napełnione muszlami z perłowéj macicy, zawiérające najpiękniejsze do malowania farby; była tam sofa z purpury, urządzona na sposób ateński, i pęzle, które na stole z drzewa terpentynowego rozrzucone leżały. Młodzieniec zaczął przechadzać się z jednego rogu do drugiego, po téj od światła spromienionéj komnacie. Niekiedy zatrzymywał się pomiędzy słupami portyku i wznióśszy ramiona swe ku księżycowi, zdawał się go wzywać lub przed nim wynurzać swoje żale. Tymczasem wszedł do pokoju jakiś człowiek, ubrany w długą szatę na sposób zwolenników Eskulapijusza, a malarz w lekarzu króla macedońskiego poznał Megabyzesa, który nie dawno go odwidził.

»Zaklinam cię na bogów,« rzekł mu lekarz z powagą, »przygaś swoję nienawiść ku mnie; nie masz ani większego czciciela, ani szczérszego przyjaciela ode mnie. Ja działam w rozkaz króla Alexandra. Dziewica z Koryntu przyjdzie niebawem do tego tajemniczego gmachu, ty sam z nią pozostaniesz; król rozkazał, abyś odmalował jéj lice i całą postać na tém płótnie, które dla ciebie przygotowano.« To rzekłszy wyszedł i zostawił samego Apellesa, który blady i jak słup wryty, stał nieporuszony na jedném miejscu.

»O ty, królu bez czucia!« rzekł nakoniec; »ani Olimpija nie była twoją matką, ani Filip nie był twym ojcem. Ty jesteś synem jakiegoś Scyty, a niedźwiedzica karmiła cię piersią swoją.«

Niebawem dało się słyszéć lekkie stąpanie i szelest greckiéj szaty. Byłato dziewica z Koryntu. Stanęła przed Apellesem i uśmiéchnąwszy się mile, rzekła do niego: »Może życzysz sobie miéć piękniejszy wzór, aniżeli ja tobie jestem, o boski malarzu!« Poczém usiadła na purpurowéj sofie; dotknęła różowemi palcami złotéj u tuniki zapinki, tunika zsunęła się z śnieżnego jéj ramienia, a w téjże chwili zdało się Apellesowi, iż przed sobą ujrzał samę Wenerę! Jak ów blaskiem wschodzącego słońca zaćmiony, podniósł malarz swoję rękę ku czołu, i na chwilę zatonął w myślach. Dziewica z Koryntu patrzyła nań w milczeniu.

Razem, jakby nadprzyrodzoną potęgą uniesiony, pochwycił artysta pęzel, i pospieszył do rozpiętego płótna. Teraz rozpoczęła się bohatérska walka między namiętnie ubóstwiającym kochankiem a zachwyconym malarzem, między poświęceniem się dla boskiego umnictwa, a przytłumieniem zapałów wzburzonego serca! Podczas gdy spojrzenie jego wzoru na płótno, a z płótna na wzór przelatywało, piękna Kampaspe i Apelles nie mówili do siebie ani jednego słowa; pomiędzy obiema osobami panowała tylko tajemna wymiana myśli. Od czasu do czasu z piersi Apellesa dobywały się przytłumione westchnienia; byłto jęk namiętności, pokonanéj umniczém uniesieniem, żałość kochanka, rozbrojona zapałem artysty. Nakoniec stanął żywy obraz na płótnie, jak gdyby artysta natchnął go życiem swéj duszy; spojrzał na swoje dzieło, i przyznał, że jest piękne...

W téj chwili w głębi u podwoi złotem lśniącego gmachu, podniosła się purpurowa zasłona. Z młodzieńczym wdziękiem i z spaniałością Boga wszedł król Macedoński. Odkryte czoło jego było jako śnieg białe, na ustach igrał uśmiéch, a jasny wzrok jego przelatywał z malarza na wzór, a z wzoru na ożywione płótno. Alexander wpatrzył się w obraz i zadumał się na chwilę; nareszcie ująwszy dziewicę z Koryntu za rękę rzekł do malarza: »Przyjacielu! takie odwzorowanie tylko modelem się odpłaca! Oto masz Kampaspe; jest ona dla mnie miłą — daruję ci ją; żyjcie oboje szczęśliwi; wiedziałem ja o waszéj miłości«

To rzekłszy złączył razem ich ręce, a łza potoczyła się z jego oczu. W tém wszedł Hefestyjon i młody Filotas do komnaty. »Jutro,« rzekł król donośnym głosem, »jutro na czele mojego tessalskiego rycerstwa wyjadę z Efezu.«

Jakoż w saméj rzeczy na drugi dzień zrana u bram miasta zagrzmiały trąby. Alexander na czele uzbrojonego wojska wyruszył do Fenicyi, Palestyny i Egiptu.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 32. i obejmuje: 1) Porównanie dwóch gospodarstw co do ich pożytku (dokończenie). 2) O uprawie buraków. 3) Niektóre wiadomości o handlu potażem. 4) Żeby z mąki stęchlizny się pozbyć. 5) Żeby jaja i kury same były smaczniejsze. 6) Jakim sposobem w każdéj chwili dojenia przekonać się o wartości mleka. 7) W Anglii czas jest skarbem. 8) Nowa pszenica.

Z Wilna. (Wyciąg z listu.) W drukarni Teofila Glücksberga z końcem roku bieżącego opuszczą prassę następujące dzieła: 1) *Literatura i krytyka* Michała Grabowskiego tom III. (Część czwarta zawiérająca rozprawę: »O szkole poezyi ukraińskiéj.«) 2) *Stanica Hulajpolska* (dom gościnny we wsi Hulajpolu) romans historyczny, oryginalnie napisany przez Michała Grabowskiego w IV. tomach. 3) Piérwszy oddział drukujących się na przedpłatę *Dzieł Szekspira*, tłumaczenia księdza Hołowińskiego. (Całe dzieło składać się będzie z 12stu tomów.) 4) *Powieści i pieśni ludu ukraińskiego*, przez Izopolskiego. — *Encyklopedyi powszechnéj* tomu III. i IV. liter B. C. D., pod redakcyją Ant. Edw. Odyńca druk ukończony.

Z Drezna. (Z listu pisanego pod d. 27. lipca.) P. Karol Lipiński dnia 5. lipca stanął w Dreźnie; d. 8. po zwyczajnéj przysiędze służby objął posłuszeństwo orkiestry; a d. 10. przedstawiony był Jego Król. Mości jako już rzeczywisty piérwszy mistrz koncertów. — Mnóstwo tu osób przyjeżdża na operę z Berlina, Lipska i okolicy. Panna Unger czaruje swym śpiewem; jestto przeistoczony w kobiétę Rubini. Głos nie bardzo świeży i ona ani młoda ani piękna, ale prawdziwy wulkan czucia w śpiéwie. Każdy artysta może wiele skorzystać słysząc ją śpiewającą; zabawi tutaj jeszcze do końca sierpnia.

P. Kraszewski w »Tygodniku Petersburskim« z d. 11. lipca umieścił długi pochwalny artykuł o dziele: *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polszcze, od wprowadzenia do niéj druku po rok* 1830 *włącznie i t. d.*, wystawiony przez Adama Jochera. Tom I., zeszyt 1szy. Wilno, druk i nakład Józefa Zawadzkiego, 1839 r., wiel. 8ka, str. 128; z którego wyjmujemy następujące miejsca: »Piérwszy zeszyt, któryśmy otrzymali, zawiéra oddział *literatury i filologii starożytnéj*, wyłożony w dwóch częściach: historyczno-krytycznéj i bibliograficznéj. Piérwsza przedstawia obraz nauki języków i literatury starożytnéj w krajach dawnéj Polski, druga spis dzieł w tym przedmiocie. Wszystko, co się odnosi do téj gałęzi, zajęte jest częścią historyczną i całe jéj dzieje wyłożone jasno, bez rozwlekłości, oparte na faktach. Druga część, to jest spis, nie kończy się jeszcze w tym zeszycie. — Cały wykład, na który zaledwie rzuciliśmy okiem, jest wybornie dokonany, i niepodobna było w słuszniejszych granicach się utrzymać, lepiéj się ograniczyć, żeby nie wpaść albo w samo jałowe rozumowanie, albo w proste wyliczanie. — Wszystko rokuje, że wyjście tego dzieła będzie epokę w nauce historyi literatury naszéj stanowić; jestto skutek prac i nakładów niezmiernych. Cóż, jeźli zwykłą nam obojętnością, połowa czytających ledwie znać je będzie z tytułu? Tego się jednak niespodziéwamy, bo wiémy, że byłoby ostatnią hańbą tak ważnego przedsięwzięcia nie umiéć ocenić. Od dawna wołaliśmy o pomstę do nieba na księgarzy, lecz takie dzieła są w stanie pogodzić nas z niemi, gdyż dowodzą bezinteresowności, więcej, niżby kto się spodziewał.«

Redakcyję wychodzącego w Lesznie pisma: *Przyjaciel ludu*, objął teraz uczony J. Łukaszewicz, po zmarłym Janie Poplińskim, który z j. ks. Tycem niezmordowaną pracą, nauką i znajomością rzeczy to pismo zawiązał i doprowadził do stopnia jego dotychczasowej wyborności.

* * *

Wielkość Boga. (Ułamek z pomysłów Isturiza, hisz. autora.) »Śmiertelniku, jeżeli o téj wzniosłéj wielkości mówić sobie zamierzasz, spojrzéj tylko okiem na to wielkie stworzenie tego świata, na to dzieło wszechmocnéj prawicy Boga, a odniosłszy się do warunkowości, z któréj się ten ogromny skutek wyzdroił, poznasz dostatecznie owę wzniosłą, spaniałą przyczynę, która wszystko to zdziałała, co tylko okiem twojém widzisz. We wszystkiem, co jest, co ma byt, mieszka istnienie możliwości, działanie; wszystkie przedmioty w ten sposób pomiędzy sobą są przez przyczynność zawisłe, że jakie w nich istnienie, taka możliwość, taka i potęga, a jaka potęga, takie i działanie. Przyjąwszy tę zasadę, albo raczéj poznawszy to piérwoczęcie *(pricipium)*, uważ, jak dziwnie pięknem, jak najdoskonaléj urządzoném i jak wielkiem jest to *universum*, to wszechświecie, ta jednostka nieskonczonnéj rozmaitości. Uważ, jak ten świat nieprzeliczne, różnorodne zamieszkują istoty, które tak na ziemi, jak w wodzie i w powietrzu z największą doskonałością są stworzone. A to wszystko, tę całą, wielką, niezmierną machinę świata stworzył Bóg w oka mgnieniu, nie mając ani tworzywa, z którego ją upostaciował, ani pomocników, którychby do swéj pracy używał, ani wzorów, podług którychby pracował, co większa, nie stanowiąc ani czasu, ani chwili, w któréjby tego boskiego dzieła dokonać zamyślił; słowem, ta wielka wszechność, ten zbiór, ten ścisły węzeł wszelkich istot, jednym pomysłem woli jego wystąpiły z nicestwa. Człowieku! uważ, iż Bóg z taką samą łatwością, z jaką ten świat stworzył, także milijony innych światów stworzyć może, a jeżeli takowe stworzył, więcby je równie, jeżeliby chciał, z taką samą łatwością bez najmniejszego oporu, zburzyć, w nieład rozsypać i zniszczyć mogł. Przypuściwszy więc, iż ze skutków i działalności rzeczy poznajemy ich potęgę, a z ich potęgi poznajemy ich byt; przyznajże sam, jak ogromną musi być ta potęga, która tak wielkie, to ogromne dzieło stworzyła? A jeżeli potęga ta jest tak wielka, nieogarniona, niepojęta, jakże

wielkie nie musi być to życie, ten byt, którego w takiéj potędze się domyślamy, i które w niéj poznajemy? To wszystko wyższe jest bezwątpienia nad wszelką wiedzę, nad wszelki rozum człowieczy... Świat ten uważaćby należało jak owę wielką machinę, u któréj nigdy nic się nie psuje, albo jak owego wielkiego jeniuszem swoim potężnego człowieka, który już przezto samo nad wszelki przypadek jest wyższym, iż niejednę taką rzecz zdziałał i stworzył, która nawet po zgonie jego trwać nie przestaje. Dla tego jestto niezawodnie zadziwiającą rzeczą, iż dzieła człowieka dłużéj niż on sam trwają!« —

Jakim sposobem niekiedy różne rośliny powstają dotychczas trudno docieć. I tak po wielkim pożarze w Londynie 1660 r. pokryło się w krótkim czasie całe pogorzelisko tak wielkiém mnóstwem rośliny *sisimbrium iro,* iż utrzymywano, że w całéj Europie tyle jéj egzemplarzy nie znajdzie. Gdzie się tylko źródło solne pokaże, natychmiast wschodzi w tém miejscu mnóstwo roślin, chociaż wprzódy żadnych nie było. Na miejscach, gdzie moczary, bagna lub jeziora wyschną, powstaje nowa roślinność. I tak gdy duńską wyspę Zelandyję wysuszono, postrzegł na niéj pan Vilgy roślinę *carex cyperoides,* która w Danii właściwie nie rośnie, a któréj tylko północne Niemcy są ojczyzną.

Turnieje w Anglii. Hrabia Eglingtoun wyprawi wswoim zamku w Ayrshire dnia 28., 29. i 30. sierpnia **turnieje**, zupełnie w stylu średniego wieku, do których młodzież arystokracyi angielskiéj z wielkim przepychem się przysposabia. Przeszło 400 ubiorów zrobionych będzie podług wzorów średniego wieku. Słychać, iż książę Beaufort, albo hrabia Errol, ma być królem turniejów. Na królowę festynu i sędzinę waleczności rycérskiéj, przeznaczono lady Saymour. Spodziéwają się rycérza, który jako **nieznajomy** wystąpi, i na którego powszechna ciekawość jest wytężona. Dnia 13. lipca odbyło się ostatnie ćwiczenie w robieniu bronią w obec saméj księżnéj i księżniczek: Augusty i Maryi Cambridge, oraz 3500 najznakomitszych osób. Wielu rycerzy wystąpiło już w właściwych ubiorach, heroldowie odgłosem trąb dali hasło do boju, a hrabia Elingtoun i wicehrabia Alfora wystąpili na harc i kruszyli z sobą kopije. Znany margrabia Waterford był także na tych popisach obecny.

Czyn szlachetny. Dziennik berliński: *Der Freimüthige* zawiéra następujący wypadek kryminalny: »Kilku ludzi przechodząc przypadkiem po przed dóm słynnego kapitalisty pana F. usłyszało nagle ogromny łoskot. Przestraszeni przechodnie otwiérają z pośpiechem drzwi, wpadają do pokoi, w obawie, ażali się kto nie zastrzelił. I tkož w saméj rzeczy domysł ich był prawdziwy; szukając bowiem tu i ówdzie, znajdują w pobocznym pokoju we krwie zbroczonego człowieka, który zdawał się, że dopiéro ducha wyzionął. Człowiekiem tym był sam właściciel domu. Żaden z obecnych nie mógł przypuścić, aby pan F., opływający we wszelkie dostatki, odebrał sobie życie. Wszyscy się więc jednomyślnie ozwali, iż zbrodzień musi być gdzieś w pokoju ukryty. »Szukajmy go, gdyż niepodobna, aby przez ten czas umknął!« Podczas tego zgiełku pojawia się jakiś młody człowiek, biały na całéj twarzy, który mocnym chociaż drżącym głosem oznajmia, że jest służącym i zabójcą swojego pana! Obecni usłyszawszy to porywają go i chcą zaprowadzić do sądu, aż oto jakaś stara niewiasta, która dotąd z zadziwienia i trwogi jak słup stała nieporuszona, z skwapliwością rzuca się pomiędzy rozsrożonych i objąwszy w ramiona drżącego Jakóba, woła: »Wstrzymajcie się, moi panowie! on kłamie, on was zwodzi. Jestto mój syn kochany, miéjcie litość nad nim, on sam nie wie, co mówi!« — »Przestań matko,« odrzekł Jakób, »któż inny jeżeli nie ja zabił mojego pana?« — »Tyś oszalał mój synu! ale wszakżem już mówiła wćpanom, że on sam nie wie, co mówi!« Kilku z obecnych chciało pochwycić winowajcę; lecz téj saméj chwili odważna kobiéta podnosi pistolet z ziemi, i objąwszy swego syna, rzecze do stojących w około: »Oddalcie się moi panowie, albo któremu z was tym pistoletem głowę roztłukę! Jednakże wkrótce ją rozbrojono, a syna oddano w ręce sprawiedliwości, która nazajutrz w zwyczajnéj formie proces wytoczyła. Winowajca stanął spokojnie i z uległością przed swoimi sędziami, i na zapytanie prezydenta, ażali jeszcze ma co dodać na swą obronę, odrzekł: »Nic, jak tylko to, iż z tak niestrwożonym umysłem gotów jestem stanąć przed sądem Boga, jak teraz przed wćpanami stoję.« — »Jakież powody skłoniły cię do popełnienia téj niesłychanéj zbrodni?« zapytał prezydent znowu. »Nienawiść, straszna nienawiść!« odrzekł winowajca. — »I dla czegoż sam byłeś swoim oskarzycielem?« — »Ponieważ zaraz po spełnionym uczynku dręczony byłem najsroższą męczarnią, a przytém nie chciałem, aby podejrzenie padło na niewinnego.« W kilka godzin poźniéj przeczytano mu wyrok śmierci. Słuchał go obojętnie, jedna tylko łza potoczyła się po jego licu gdy wspomniał o swojéj matce. Aż oto nagle u drzwi sali sądowéj powstało zamieszanie, jakiś człowiek osłoniony szérokim płaszczem i z zasuniętym na oczy kapeluszem staje przed sędziami i mówi: »Wstrzymajcie się, panowie, z wykonaniem wyrzeczonéj na tego człowieka kary, nie każcie go tracić; on was okłamał, on nie zabił swojego pana.« Jakób wzdrygnąwszy się skrzyknął okropnie, przezco jeszcze bardziéj ciekawość i powszechne podziwienie się wzmogło. »Któż wćpan jesteś,« zapytał prezydent, »i czego żądasz?« — »Jestem panem tego poczciwego człowieka. Słuchaj wćpan: sprzykrzywszy sobie przez różne okoliczności życie, postanowiłem śmierć sobie zadać, ale łaskawa Opatrzność nie dozwoliła mi dokonać tego zbrodniczego zamiaru. Skon mój, jak widzę, byłby się stał powodem do haniebnéj śmierci tego poczciwego człowieka. Dzięki niebu, że przedsięwzięcie moje się niepowiodło, żem się jeszcze dla ocalenia mojego Jakóba przy życiu ostał. Odniosłem tylko lekką ranę z wystrzału, i straciłem przez czas niejaki przytomność zmysłów. Lecz przyszedłszy znowu do siebie i dowiedziawszy się o wszystkiém, co się stało, miałem sobie za świętą powinność przekonać wćpanów osobiście o niewinności Jakoba!« — »I cóżeś ty zamierzył,« ozwał się prezydent do Jakóba, »twojém niebezpieczném oskarżeniem się?« — »Chciéj mnie łaskawie panie prezydencie posłuchać, a odkryję otwarcie cały sposób mojego postępowania. Człowiek, który sobie życie odbierze, jest w oczach całego świata zniesławiony; hańba cięży nie tylko na nim samym, ale nawet na jego familiję przechodzi; zwłok takowego człowieka nawet pogrzebem uczcić nie wolno, jest on wystawiony na obelgę i pośmiewisko ludu. Otóż nie mogłem znieść, aby hańba i szyderstwo podobnie jak drapieżne sępy pastwiły się nad ciałem mego pana. Albowiem, wiedz o tém, panie prezydencie, że on mnie wykarmił i wychował i mojéj matce dotychczas daje utrzymanie. Nie masz ani kropli krwie w moich żyłach, któréjbym zań nie przelał, dla okazania mu mojego szacunku i przywiązania. I z tego powodu wołałem poddać głowę moję pod miecz katowski, niż dozwolić, aby na familii pana mego wieczna hańba cięzyła. Pozwoliłem sobie wprawdzie szkaradnego oszukaństwa, jednakże mam nadzieję, że mi Pan Bóg ten grzech przebaczy.« Zdziwieni tak szlachetném uczuciem sędziowie zawyrokowali, aby ten szlachetny czyn ogłoszono. W tryjumfie zaprowadzono poczciwego Jakóba do domu, a matka Marta ujrzawszy swego syna mało nie umarła z radości.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*